

Romuald Pawlak

Bo to jest wojna, rzeź i rąbanka!

(opowiadanie z tomu „Bo to jest wojna, rzeź i rąbanka”,
Fabryka Słów 2006)

Ti dong!

Spojrzałem na wiszący zegar, który wskazywał dopiero kwadrans po osiemnastej.

Zwlokłem tyłek z kanapy i z puszką heinekena ruszyłem ku drzwiom wejściowym. „Psiakrew, nie zdążyłem się znieczulić! – marudziłem w myślach. – Nie jestem przygotowany, Elizka!!!”

Ale czy jakikolwiek normalny facet może ot tak przyjąć do wiadomości, że jego dziewczyna fatyguje się tylko po to, aby go oficjalnie rzucić? „Pa, pa, kochanie, było miło, ale właśnie się skończyło.” Miałem niemal pewność, że nasza znajomość dobiegła końca. Psuła się już od dobrych kilku tygodni, a wczorajszy wieczorny telefon Elizy nie pozostawiał mi nadziei na pomyślny finał.

I tak cud, że zaraza chce się spotkać. W modę wchodziło powiadamianie o takich rzeczach przez znajomych. Albo zrywanie przy pomocy esemesa – co dopuścili nawet islamscy duchowni, chociaż zażądali wysłania trzech po kolei, jakby jeden nie wystarczył.

Zmierzałem więc ku drzwiom krokiem wolnym i niechętnym, a kolejne łyki piwa nie potrafiły mnie znieczulić. Równie pewnym i zwawym krokiem podążałbym zapewne na trepanację czaszki bez znieczulenia albo na resekcję rozumu.

Ti dong! Ti dong! Dong! Dong!!!

Normalnie bym się nawet na Elizkę zdenerwował. Co mi tu wydzwania jak głupia, skoro wie, że zaraz otworzę.

Po cichu liczyłem jednak na pożegnalny „spacer po polach elizejskich”, wiecie, małe bara-bara. Takie „żebyśmy się nie żegnali z nienawiścią”. Miałem wymyślony cały szereg podejść do tematu, od delikatnych poetyckich aluzji po skowyt opuszczanego skazańca.

DOOOONG!!!

Westchnąłem ciężko i spojrzałem w lustro w przedpokoju, sprawdzając, czy wyglądam jak człowiek. „Hmm, jeżeli ja wyglądam jak człowiek, to rasa ludzka niewątpliwie podupadła” – pomyślałem wisielczo, przyglądając rozwichrzoną fryzurę. Wreszcie, wciąż mając w sercu cień nadziei na pogodzenie się z Elizką, otworzyłem drzwi.

– Kontrola dokumentów! – huknął jakiś ponury facet, natychmiast wsadzając stopę w szparę. – Elfów szukam! Są tu jakieś?

Ja cię pierdzielę! Wyglądał na prawdziwego, groźnego wariata! Wysoki na dwa metry, a w barach miał z półtora jak nic. Jego wielki brzuch opięty metalowym półpancerzem sięgającym bioder niemal uderzył mnie w twarz. Drab na przedramionach nosił ciemnoniebieskie ni to ochraniacze, ni to bransolety rzeźbione w dziwaczne wzory przypominające malarstwo Kandinsky’ego. Kolorytu dopełniały długie czarne włosy kilkunastoma warkoczami opadające na plecy oraz rudawa broda sięgająca piersi. Kładła się na jego zbroi niby wojenny porporzec. Świdrował mnie spojrzeniem tak nieprzyjemnym, jak Torquemada swoje śniadanie.

Krótko mówiąc, bydlak w niczym nie przypominał mojej kruchej, blondwłosej Elizki. Prędzej górala wyhodowanego na oscypkach albo zmutowanego świstaka w sreberkach.

– E... y... jakie elfy? – zająknąłem się, odruchowo robiąc krok w tył. – To jest mieszkanie prywatne!

Sięgnął do pobłyskującego srebrzyście plecaka, który teraz dopiero zauważyłem i wyjął stamtąd topór.

– To sobie poczekamy – chrypnął. Odepchnął drzwi razem ze mną i wszedł do przedpokoju.

Tak oto poznałem Turgila Olganssona we własnej krasnoludzkiej osobie.

* * *

Z początku myślałem, że jest jakimś niebezpiecznym szaleńcem, który postanowił udowodnić całemu światu, iż trzeba się z nim liczyć. Takie świry za najlepszy sposób zwrócenia na siebie uwagi uważają porwanie kogoś lub wysadzenie jakiegoś budynku. Koniecznie w obecności kamer oraz stada dziennikarzy.

On jednak czujnym i pozbawionym oznak szaleństwa wzrokiem wodził po przedpokoju, który w moim mieszkaniu otwiera się na kuchnię z dużym oknem.

Nagle przesłał mi przyjazny uśmiech i puścił oko, a we mnie trzasnął piorun nagłego podejrzenia: może to sprawka Elizy? Może nasłała tego potwora w ramach okrutnego pożegnalnego żartu? Wychodzi trochę drożej niż esemes, ale za to ileż zabawy, gdy później przy winku zaczniesz opowiadać przyjaciółkom, w jakich okolicznościach rozstała się ze swoim facetem...

Jęknąłem przerażony. Przecież ta góra mięcha może ze mną zrobić wszystko!

Bandyta chyba źle zrozumiał mój skowyt. Znów czujnie rozejrzał się po mieszkaniu, usiłując wysondować spojrzeniem wnętrza pokoi. Topór skierował w moją stronę.

– No co?! – burknął. – Czego biadolisz, durniu, jak ci jeszcze nic nie zrobiłem?

– Jak nic? Włamujesz się do mojego mieszkania! – stwierdziłem ponuro.

Drab popatrzył na mnie z góry, podrapał się pod pachą tam, gdzie przednią i tylną część pancerza łączyły skórzane wiązania. Rozległ się chrobot, jakby ktoś czochrał krokodyla po łuskach na grzbiecie.

– Turgil Olgansson się nie włamuje, tylko zdobywa – poprawił mnie z gryzącą ironią.

– Stanowisko ogniowe będę zakładać – dodał, jakby miało mi to coś wyjaśnić.

Zaraz... Zaraz! Jeżeli to nie Eliza...

W mojej głowie zawirowała straszliwa myśl: mój słodki blondasek zjawi się tu najpóźniej za pół godziny... A skoro to nie ona go nasłała... oboje będziemy mieli problem. Wielki problem z jeszcze większym, groźnym wariatem udającym bajkowego krasnoluda.

Tymczasem Waligóra Olgansson – czy jak się naprawdę ta bestia nazywała – spojrzał na mnie i spytał:

– Sam mieszkasz?

Gorliwie skinąłem głową.

– Sam. I nikogo się nie spodziewam – dodałem szybko. Miałem pół godziny na zrobienie czegoś z tym draniem, zanim przyjdzie moja dziewczyna. „Kto wie – kalkulowałem – jeżeli wykażę się bohaterstwem, może zdołam uratować nasz związek?”

Turgil zawiesił topór na pasku i sięgnął za siebie. Zdjął to, co do tej pory uważałem za plecak. W istocie była to wielka metalowa skrzynia, prostopadłościan o dłuższym boku mierzącym jakieś osiemdziesiąt centymetrów. Rzucił pojemnik na podłogę, pod szafkę na buty. Potem ciężkim krokiem ruszył w moją stronę i nieoczekiwanie złapał mnie za rękę. Próbowałem się wyrwać, krzycząc przy tym z bólu i upokorzenia, ale on włókł mnie od pokoju do pokoju, lustrując mieszkanie niby człowiek z agencji nieruchomości. Na widok łazienki przerobionej na małą siłownię z aprobatą kiwnął głową, ale puścić mojej ręki, cholerny drań, nie zamierzał.

Wreszcie na jego twarz wypłynął grymas zadowolenia, kiedy dotarliśmy do największego pokoju z dużym balkonem.

– Nada się! – mruknął. Dociągnął mnie pod drzwi balkonowe i tu posadził jak jakąś cholerną lalkę obok donicy z papirusem. Spojrzeniem nakazał mi zostać na miejscu. „Bo

inaczej skręć kark, rozumiesz?” – zdawał się mówić jego wzrok. Potem szarpnął klamkę i wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Jasny gwint! – mruknął z podziwem, gdy rozpostarła się przed nim panorama, na oglądanie której stały bilet wykupiłem trzy lata temu.

Długo, długo szukałem mieszkania na Tysiącleciu. Miałem jednak farta, bo wreszcie zdobyłem niesymetryczne stumetrowe lokum na dwudziestym piątym piętrze jednego z wieżowców zwanych „kukurydzami” – ze względu na to, że z zewnątrz przypominały mocno kaczany owej rośliny.

Był to prawdziwy wysokościowiec. Winda, choć wjeżdżała tylko na 24 piętro (dalej trzeba się było wspinać schodkami), to myliła się często, na wyświetlaczu pokazując „29”. Czyli moje mieszkanie byłoby na trzydziestym piętrze. Czasem żartowałem, że można się tu poczuć prawie jak w Empire State Building.

Na wprost mojego balkonu, jakieś trzydzieści metrów dalej, biegła droga szybkiego ruchu. A za nią, pokąd wzrokiem sięgnąć, rozłożyła się solidna łąta lasu, nie wiedzieć czemu zwanego Wojewódzkim Parkiem Kultury i Wypoczynku.

Pośród tej kojącej oczy soczystej zieleni widać było plamę stadionu i gdzieś tam jakąś budowlę.

Dla mnie czymś równie wspaniałym jak ten widok na las pośrodku miasta były komary. Albo raczej ich brak. Okazało się, że pijawy dolatują najwyżej do dziesiątego piętra. Fajna sprawa, no nie?

Turgil patrzył z mojego balkonu z zachwytem na twarzy. Ale długie kontemplowanie widoków innych niż nacieki skalne chyba jednak nie leży w naturze krasnoludów. Odwrócił się więc w stronę mieszkania i tubalnym głosem oznajmił:

– Wybór masz taki, przyjacielu: zwiążę cię i posiedzisz sobie, pomyślisz, popatrzysz, jak Turgil Olgansson montuje stanowisko ogniowe, a jak skończę, to cię uwolnię. Albo będziesz się szarpać, próbować uciec, brzydkie wyrazy puszczać niby bąki, wtedy zaknebluję i wyrzucę przez balkon. Rozumiemy się?

Ponuro skinąłem głową. Nikt nie chce zginąć śmiercią lotnika bez spadochronu. Po upadku z dwudziestego piątego piętra nie zostałaby ze mnie nawet mokra ścierka, co najwyżej rysunek, jaki dziewczynki gryzmolą kredą podczas gry w klasy.

– Grzeczny człowiek. – Krasnolud wyszczerzył swoje trójkątne, rekinie zęby dostosowane rozmiarem do postury, to znaczy wielgachne, zdolne chyba przegryźć puszkę whiskasa. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd zwój cienkiej czarnej linki. Łaskawie spytał, do czego chcę być przywiązany, a kiedy zaproponowałem, że siądę sobie na wygodnej kanapie pod ścianą z oknem balkonowym, skinął głową.

– Jak wy to mówicie? Klient nasz pan? – rzucił. I związał mnie tak, że przypominałem szynkę kanapkową albo kanapkę szynkową, albo sam już nie wiem co. Było to dosyć niewygodne, lecz bałem się protestować. Gdzieś w mojej głowie tkwiła rada specjalistów od terroryzmu, żeby nigdy nie klócić się z napastnikiem, za to łagodnym uśmiechem zdobywać ich sympatię i proponować jedzenie z dużą ilością cukru.

Turgil odłożył na bok topór i przyniósł do pokoju swoją skrzynkę. Poświstując przez zęby, przyjrzał się jej uważnie. Westchnął, potrząsnął warkoczykami i zgrzytnął pazurami po wieku. Zaklął. Wstał, popatrzył na park obłany słonecznym blaskiem, wreszcie przeniósł wzrok na mnie i uśmiechnął się ponuro.

– Znowu będą narzekać, że się powgniatąło... A czy to moja wina, że blacha słaba? – mruknął pod nosem. – Ładną mamy jesień, nieprawdaż? – spytał nagle. I kopnął skrzynię z takim rozmachem, że weszła w warp 9. Z niewiarygodnym hukiem wylądowała na przeciwległej ścianie, cudem tylko nie trafiając w nowiuteńki płaski ekran, za który pół roku temu dałem osiem patyków.

Grzechot rozsypujących się narzędzi zagłuszył mój jęk.

W krasnoluda tymczasem wstąpiło nowe życie. Energicznym krokiem podszedł do sprzętu, po czym zaczął w nim gmerać. Na moich oczach powstawało coś podobnego do działa, ręcznej rusznicy oraz dziesięciu trzyczęściowych rakiet z bulwiastymi naroślami na szczycie.

Na Tysiąclecia ludzi zwykło się zabijać przy pomocy pięści, kija bejsbolowego albo noża. Nadzwyczaj sprytni wariaci potrafili zdobyć dynamit. Ale coś, co wyglądało na panzerfaust!??? Bez przesady!!!

Do cholery, co robił w moim mieszkaniu ten krasnolud-bandyta szukający elfów? Toż to chore! Chore i smagnięte pazurzastą ręką diabła!!!

W moje myśli nieoczekiwanie wdarł się dźwięk dzwonka u drzwi. Normalny, tradycyjny dźwięk, który jednak zabrzmiał absurdalnie. Spróbujcie to sobie wyobrazić: ukochana czeka za drzwiami, a tu jakiś drań montuje na balkonie coś przypominającego stanowisko ckm dodatkowo wzmocnione kilkoma panzerfaustami. Mogło to wyglądać na okropny sen. Ale przecież wiedziałem, że nie śpię!

Turgil tygrysim susem, całkowicie zaprzeczającym pogładowi, że kawał mięcha nie może nagle podskoczyć, znalazł się przy mnie.

– Kto? – syknął, wbijając mi twarde paluchy w grdykę. Jego sina twarz poczerwieniała. Dopiero z bliska pojąłem, że to, co brałem za pryszcze, jest w istocie wszczepami podskórnymi.

– Wgrhrgrrrr... – próbowałem odpowiedzieć.

Nagle uścisk palców zelżał. Turgil niemal bezszelestnie pobiegł do przedpokoju. Szarpnąłem się, zapominając o lince, kanapa skrzeknęła rozdzierająco... Krasnolud natychmiast wrócił, błyskawicznie mnie rozwiązał i pchnął w stronę drzwi.

– Otwierasz i nic nie robisz, jasne? – syknął do ucha.

Na wypadek, gdybym miał inne zdanie, wbił mi palec pod żebro. Uznałem, że nie potrzebuję dodatkowych otworów w ciele, więc grzecznie powędrowałem z nim do przedpokoju. Tu krasnolud stanął tak, żeby go zasłoniło otwierane skrzydło drzwi, i dał znak. Szczęknąłem zamkiem, uchyliłem drzwi...

Wiecie, jak to jest w filmach i powieściach. Bohater mruga okiem albo szepcze niedosłyszalnie dla terrorysty, ostrzegając ukochaną. Ta ucieka, a nasz dzielny Johny czy inny Harry jest masakrowany przez piętnaście minut albo stron. Wreszcie wypluwa kilka zębów, dowala terroryście, odnajduje ukochaną. A sprawę wszelkich protez czy przeszczepów załatwia już po napisach końcowych.

Nie zrobiłem nic.

Wyglądała bosko w swoim ciemnopomarańczowym kostiumie. Byłaby niczym słodka mandarynka, gdyby nie jej bojowa natura. Potrafiła być czuła, namiętna i delikatna (ach ten język, którym operowała z finezją, o jakiej mógłby pomarzyć niejeden neurochirurg). A kiedy się wkurzyła, równie dobrze wychodziły jej starty w kategorii K-1, czyli „Jak trzema słowami zmusić przeciwnika do wyskoczenia oknem”.

Teraz zdecydowanym krokiem weszła do kotła założonego w moim mieszkaniu przez Turgila.

– Pomocnika sobie znalazłeś? – rzuciła ironicznie w moją stronę, równocześnie taksując krasnoluda ostrym spojrzeniem. – A może wstąpiłeś do bractwa rycerskiego?

Dlaczego dopiero wtedy wróciła mi mowa? Ale tak to jest na tym przeklętym świecie: dźgnij konia ostrogą, a choć nie ma siły, polecą do przodu nie jak porządny koń, tylko durny osioł.

– To jest porwanie! – wydusiłem. – Mamy kłopoty, Eli...

Ciężka łapa Turgila spadła mi na ramię i wgniotła w podłogę.

– Jakie tam porwanie, panienko – mruknął krasnolud tonem, który mnie całkowicie zaskoczył. – Zwykle stanowisko ogniowe sobie montuję...

Szarmanckie zachowanie Olganssona nie wywarło na Elizce najmniejszego wrażenia.

– A ja jestem ni pies, ni wydra, ni kokota – odparła głosem, jakiego chirurg używa, kiedy ma tępy skalpel. Odwróciła się ku drzwiom, żeby odejść.

Uścisk łapy Turgila na moim ramieniu natychmiast zelżał.

– Już mi tu! – wrzasnął krasnolud tak, że wszystkie meble w przedpokoju podskoczyły, a lustro brzęknęło ostrzegawczo. – Do środka, ale już! Bo w mordę dam!

Tej mrocznej istocie udało się to, co mnie nigdy dotąd: Elizka zadrzała, jakoś tak zwiotczała w sobie i posłusznie odstepała od drzwi.

– No! – powiedział z zadowoleniem Turgil Olgansonn, krasnolud, cham i prostak w jednej osobie. – Wracamy do roboty, bo czas goni.

Spojrzeniem wskazał nam pokój. Posłusznie weszliśmy do środka. Eliza patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma, w których malowało się przerażenie.

Nagle bransoleta na przedramieniu krasnoluda zaświergoliła niby głodne piskłę domagające się od rodziców uwagi oraz robaka. Turgil zgrzytnął zębami, zerknął, czy nie próbujemy mu uciec, potem przeniósł wzrok na swój – jak się domyśliłem – komunikator.

– Już tu są, legolasy pierdolone – mruknął po chwili z obrzydzeniem. – Za szybko im poszło.

Zaczął coś skrobać pazurami, jakby pisał. Znow zaświergoliło, krasnolud westchnął ciężko, wyskrobał coś w odpowiedzi, po czym potoczył wzrokiem, trafiając na mnie i Elizę wciąż niepewnie stojących pośrodku pokoju.

– Ludzie – burknął z niechęcią – kto was wymyślił, taką partaninę?

Gorączkowo rozejrzał się po pokoju, wyraźnie czegoś szukając.

– Siad – wskazał nam kanapę. I dalej się rozglądał. – Gdzie masz pilota? – burknął wreszcie.

A więc sam nie umiał znaleźć urządzonego, bez którego płaszczak za osiem patyków był równie przydatny jak zepsuta czapka-niewidka! Uśmiechnąłbym się triumfalnie, gdybym tak bardzo się nie bał.

– Tutaj. – Wskazałem spojrzeniem krasnoludowi czarny wazon w kształcie smukłego kielicha lilii stojący na parapecie. Pilot wylądował w jego wnętrzu po wczorajszym telefonie od Elizy. Na czymś musiałem wylądować złość i padło na urządzonego. Nie wiedziałem nawet, czy przetrwało celny, podbudowany wściekłością rzut.

Wielkolud sięgnął do środka. Jednak jego łapa uwięzła w przewężeniu wazonu. Turgil warknął z irytacją, uniósł go i mocno potrząsnął. A kiedy zagrzechotało, bezceremonialnie trzasnął wazonem o parapet. Spośród skorup wydobył pilota.

Chwilę przyglądał mu się w zadumie. Cóż, takie narzędzie to nie lada wyzwanie dla stwora, którego najmniejszy palec przypominał kafar do wbijania betonowych pali w dno rzeki. Pilocik był zgrabny, mały, prawdziwe japońskie cacko – takie haiku do zappingu.

Wreszcie Turgil z wahaniem coś nacisnął. Telewizor zareagował bolesnym skrzeknięciem.

„Zabił go sukinkot!” – pomyślałem.

Być może jednak płaszczak obawiał się tego samego co ja, to znaczy wyprowadzenia na spacer przez balkon. Po kilku dalszych kaszlnięciach postanowił iść na kolaborację z krasnoludem.

I to na jaką kolaborację! Na czterdziestocalowym ekranie zobaczyłem półnagą rudowłosą piękność. Przeciągnęła się miękko i kusząco, jakby płaszczak pokazywał to, co ma najlepszego do zaoferowania.

Turgil z wyraźnym żalem zmienił kanał. Programy przelatywały jeden za drugim, aż znalazł TVN 24.

Ekran podzielony był na dwie nierówne części. Na mniejszej poczerwieniała ze strachu redaktor Pochanke próbowała rozmawiać z jakimś bladym analitykiem wojskowym. Ten ze względu na posturę i wyraz twarzy przypominał mi bardziej Igora z „Młodego Frankensteina” Mela Booksa niż kompetentnego specjalistę.

Gdyby Turgil trenował obsługiwane elektroniki zamiast prężenia bicepsów, pewnie mielibyśmy nawet fonię i wiedzielibyśmy, dlaczego nasi dostają w tyłek. Bowiem na drugiej części ekranu, zapewne kręcona z odległej kamery zamontowanej na helikopterze, trwała regularna jatka. Przypominała trochę ilustrację, którą pamiętałem jeszcze ze szkoły, a przedstawiającą szarżę polskiej kawalerii na hitlerowskie czołgi we wrześniu 1939. Rzecz jasna, tamten obrazek rozmijał się z prawdą historyczną, niemniej robił odpowiednie wrażenie. Podobne do tego, jakie teraz wywierała na mnie ta transmisja telewizyjna. Wojsko, w tym transportery opancerzone, cofało się pod naporem kilkunastu dziwacznych pojazdów o nieregularnej, miękkiej linii masek, przypominających trochę liście wierzby. W pobliżu tych niezwykłych maszyn uwijały się wysokie postacie w szarzielonych panterkach, strzelając dokoła niebieskimi płomieniami. Po niebie śmigały dwa stworzenia, w których rozpoznałem smoki!

W przerażeniu stwierdziłem, że nasze wozy bojowe co i rusz wylatują w powietrze, podczas kiedy polski ostrzał zdawał się nie wywierać żadnego efektu na agresorach.

– Sukinkoty! – burknął z niezadowoleniem krasnolud, potwierdzając moje przypuszczenie. – Jak zwykle włączyli magiczne tarcze, bo po co walczyć honorowo z ludzikami, no po co?

Resztką naszych sił wycofywała się w nieładzie...

A w zielonych oczach mojej ukochanej Elizy ujrzałem isierki, które już kiedyś widziałem. Oboje rozumieliśmy, że to nie jeden szalony porywacz, tylko coś znacznie większego, groźniejszego i niezrozumiałego.

Nagle moja słodka pomarańczka zaczęła rozpaczliwie piszczeć. Po jej twarzy pociekły łzy. Maską groźnej myszy bojowej opadła, ujawniło się to bezbronne stworzenie nieradzące sobie ze stresem. Próbowałem ją wziąć w ramiona i utulić (to zwykle pomagało), ale odsunęła się pod okno balkonowe, jak najdalej ode mnie i tego potwora.

Turgil po raz kolejny odsłonił swą obrzydliwą krasnoludzką naturę. Skrzywił się, złapał za poduszkę i skoczył ku mojej dziewczynie. Zatrzymał rękę z jaśkiem pół metra od jej twarzy.

– To jest wojna, kobieto! – warknął. – Rzeź i rąbanka bez sentymentów. Zamknij się albo...

Eliza natychmiast zamilkła, tylko jej oczy stały się jeszcze większe jak na japońskich kreskówkach. Turgil zaś odrzucił poduszkę i sięgnął po swoją linkę. Wskazał nam kanapę, po czym oboje zostaliśmy związani. Końce linki umocował do drzwi balkonowych z jednej strony, do drzwi wejściowych z drugiej. Znaleźliśmy się niczym pośrodku pajęczej sieci.

– Idę montować gniazdo – rzucił, znikając w przedpokoju. – A wy siedzieć cicho i grzecznie, bo jak nie, wrócę i krzywdę zrobię.

* * *

„Raz kozie śmierć, trzy razy kielbasa” – niezupełnie z sensem powiadała moja babcia. To znaczy do tej pory wydawało mi się to pozbawione logiki. Odkąd Turgil stanął w moich drzwiach, a gdzieś tam ziejące ogniem elfy i towarzyszące im smoki kasowały polskie bewupy, trochę zwątpiłem w logikę formalną oraz inne racjonalne argumenty. No bo jak miałem nadal wierzyć, że smoków nie ma, a mleka z lodówki nie wypijają skacowane skrzaty?

Krótko mówiąc, pomyślałem, że skoro mamy zginąć, to sobie wcześniej z Elizką ułożę stosunki. To znaczy przynajmniej się pogodzimy. Pojednamy. O „spacerze po polach elizejskich” mogłem zapomnieć, chyba żeby... ale i tak sznurki przeszkadzały, a nie miałem osprzętu jak humbaki długiego na metr czy dwa i giętkiego jak u pewnego Centaurianina.

Postanowiłem najpierw zmiękczyć Elizę, korzystając z jej roztrzęsienia. Później pogadam z Turgilem jak facet z facetem. My łowcy, te sprawy...

Siedziałem częściowo odwrócony plecami do Elizy i z rozkoszą wdychałem powietrze. Jezu, jak ona słodko pachniała! Delikatne perfumy połączone z naturalnym mlecznym zapachem jej skóry jak zwykle mnie oszołomiły.

Wykręciłem szyję, żeby ją pocałować. Było to zajęcie godne człowieka-gumy, ale nawet mglista i odległa perspektywa spaceru po polach sami-wiecie-jakich sprawiła, że moje członki stały się bardziej elastyczne.

Kiedy cmoknąłem ją poniżej ucha, tuż za linią włosów, nieoczekiwanie kopnęła mnie ze złością w kolano, a jej łokieć wyładował na moich żebrach. To niestety też znałem. Gdy wychodziła ze stresu, gryzła z podwójną siłą. Atakowała na oślep, jakby musiała wyładować adrenalinę.

– Przestań! – syknęła. – To koniec, nie rozumiesz?

Uśmiechnąłem się smętnie.

– Wiem, zaraz umrzemy – odparłem. – Pogódźmy się przynajmniej...

Nagle, akurat kiedy Eliza otwierała usta, żeby mi odpowiedzieć, w pokoju obok coś wybuchło. Eksplozja była tak silna, że zakłósał się cały budynek.

W trzy sekundy później za ścianą zatrzeszczało, po mieszkaniu rozszedł się gryzący dym, a zaraz potem usłyszałem jakieś głosy. Po chwili do pokoju zajrzał Turgil, a za nim wkroczyła grupa podobnie brodatych krasnoludów dźwigających skrzynie ze sprzętem.

Mnie zignorowali. Za to na Elizę popatrzyli ze zdumieniem.

– Nyrrrghhe dai henn – rzucił jeden z nich, robiąc krok w stronę naszej kanapy.

Olgansson syknął. Takiej miny krasnoluda jeszcze nie widziałem. W oczach jego ziomek, w których sekundę temu błyszczała chyba myśl o gwałcie zbiorowym, nagle zagościł strach. Przepychając się, klnąc i wściekle kopiąc ściany, zniknęli w korytarzu.

Turgil pokręcił głową. Później zlustrował nas zimnym wzrokiem.

W mieszkaniach po sąsiedzku rozległy się krzyki i łomoty. Na twarz krasnoluda wypłynął uśmiech przypominający minę krokodyla, który zaprasza cielaka gnu: „Pójdź dziecię, ja cię uczyc będę”.

– Dobra, pora wrócić do roboty – mruknął. – Przyjemności później.

Eliza zbladła. Ja przygryzłem wargę. Przemknęła mi szalona myśl, że gdzieś pod kanapą powinien leżeć zgubiony nóż do obierania owoców. Gdyby poszukać... wymacać... wyciągnąć... Przeciąć nim sznury... albo lepiej wbić go Turgilowi w samo serce!

Nie zdążyliśmy zrobić nic. Nagle niebo nad parkiem pojaśniało i dobiegły stamtąd eksplozje. Odległe, głuche gromy towarzyszące jaskrawym błyskom widocznym nawet w świetle dnia.

– Uch! No to mamy ich na karku – jęknął nerwowo Turgil, rzucając się ku swojej broni na balkonie. W dzikim pośpiechu dokonywał ostatnich poprawek.

Usłyszałem jęk Elizy. Też bym chętnie jęknął, ale ugryzłem się w język, a potem było za późno. Posadami budynku coś wstrząsnęło, rozległ się rumor i wrzaski, a jakiś pocisk poleciał w stronę parku.

Daleko po drugiej stronie ulicy znad lasu niby rakieta mknęła ku nam smok. Jego paszcza buchała dymem oraz strumieniami jaskrawopomarańczowego ognia. Do karku stwora przytulił się ledwie widoczny elf w swoim charakterystycznym stroju.

Turgil zaklął. Oparł na ramieniu jedną z wyrzutni rakiet i odpalił ją z hukiem. Mimo że stanął twardo jak muł, odrzut spowodował, że krasnolud zderzył się z balkonową ścianą jak mały fiacik z tirem albo samolotem lądującym na autostradzie. Normalnego człowieka to by zabiło, on jednak wydawał się tylko lekko oszołomiony. Przemknęła mi przez głowę myśl, że skoro mają technikę pozwalającą na skoki pomiędzy światami, mogliby sobie pozwolić na rakiety bezodrzutowe. No chyba że uważają je za niemieckie...

Niczym zahipnotyzowany patrzyłem, jak smok i rakieta lecą ku sobie. Strumienie ognia chyba oślepiły stwora albo gad po prostu tak miał, że reagował z opóźnieniem. Kiedy zaczął skręcać, nic to już nie dało. Rozległ się wybuch, potem przerażający wrzask rannego

smoka. Elf spadł z karku zwierzęcia i koziołkując, runął na wiatę przystanku tramwajowego. Osunął się na betonową wysepkę, gdzie zmarł bez ruchu.

Tymczasem smok skręcił nad park. W jego boku ziała okropna rana, z której ściekała żółta posoka. Bydlę, machając ciężko skrzydłami, próbowało uciec – wybrało jednak zły kierunek. Zamiast znaleźć sobie jakąś aleję pośród drzew i zniknąć nam z oczu, wpadło na koronę Stadionu Śląskiego. To był wysiłek ponad możliwości rannego smoka. Wzniósł się kilka metrów ponad budowlę, ale nie zdołał jej pokonać i ze strasznym łomotem uderzył w krzeselka na szczycie stadionu.

Przemknęła mi przez głowę absurdalna myśl, że odtąd stadion powinien się nazywać nie Śląskim, tylko Smoczym.

Turgil chwycił działko i otworzył ogień do elfa, który i tak leżał nieruchomo. Jednak kule z krasnoludzkiej broni sprawiły, że zaczął podrygiwać niczym marionetka.

Wreszcie Olgansson przestał strzelać, skupionym spojrzeniem zlustrował horyzont, odetchnął z ulgą. Spojrzał na nas, szczerząc zęby.

– No i po fruważcu. A wiecie, ile są warte jego łuski?

Milczałem wciąż w stanie szoku.

– Jak już skończymy, to sobie pozbieracie. Sam zobaczysz. – Mrugnął do mnie, wyjął z buta nóż i zaczął na swojej rusznicy karbować długą krechę. Na jego przyszczatej twarzy odmalowała się rozkosz.

– Co skończycie? – spytałem, nie do końca rozumiejąc słowa krasnoluda. Wciąż próbowałem zmieścić w głowie to, co przed chwilę zobaczyłem.

Nóż zawisł w powietrzu.

– No, wojnę skończymy, głupku – leniwie wymruczał Turgil. – A co sobie pomyślałeś?

– Nie wygląda, żeby po wojnie został ktoś, kto by mógł prowadzić handel – odparłem sceptycznie, wciąż mając w pamięci lanie sprawiane naszym żołnierzom.

Krasnolud westchnął ciężko.

– Przecież to nie jest wojna z wami – wyjaśnił. – To jest wojna pomiędzy elfami a nami, krasnoludami. Tylko po co niszczyć Erren, naszą ziemię? To się umówiliśmy z tymi cholernymi elfami, że wojnę stoczymy gdzie indziej, skoro nie możemy się dogadać, kto ma rządzić. – Tu popatrzył na mnie w zadumie. – No i padło na was. Taki los.

„No tak – zadumałem się – takie pechowe miejsce. Jak nie zabór, to demokracja ludowa. A jak przeżyliśmy wstąpienie do Unii, to teraz poprawi i wyprostuje nas wojna elfio-krasnoludzka. A potem jakiś meteoryt uderzy w sam środek, najpewniej w okolice Łodzi, żeby dobić te nędzne resztki narodu, które przetrwają... O Jezu, Jezu najśłodszy, Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie...”

Nagle gdzieś na piętrze niżej gwizdnęło, wizgnęło, aż całe mieszkanie się zatrzęsło. Nie, żebym zbladł – skoro już odzyskałem kolory po strąceniu smoka, banalny wybuch nie robił na mnie większego wrażenia.

– No i jakieś mięso się przypaliło... – z zadowoleniem mruknął Turgil.

– Elfy? – podsunąłem domyślnie.

Krasnolud popatrzył na mnie z politowaniem.

– Elfy nie takie głupie, żeby wleźć na byle minę. Pewno któryś z sąsiadów z twojego piętra próbował uciec albo ktoś z dołu chciał pożyczyć szklanek mąki... – Olgansson roześmiał się charkotliwie. – Cały blok obstawiony pułapkami, żeby nikt nam tu nie wszedł... ani nie wyszedł. – Popatrzył na mnie groźnie.

Przerwał, bo jego bransoleta znów coś zagadała. Z uwagą spojrzał na wyświetlacz.

– O, jest wsparcie! – ucieszył się hałaśliwie. – Noooooo, wreszcie dobierzemy się ostrouchym do dupy!

Nie miałem pojęcia, co dokładnie Turgil ma na myśli. Zanim jednak zdążyłem przemyśleć słowa krasnoluda, do mieszkania z impetem wpadł jeden z jego podwładnych.

Wyszczał z tysiąc słów i pięćset mruknięć, w odpowiedzi dostał od Olganssona jedną krótką komendę i zaraz wyparzył na korytarz, jakby sam Lucyfer przystawił pochodnię do jego rudych warkoczy.

Gdzieś w dali narastało dziwne brzęczenie.

Nic nie rozumiałem z krasnoludzkich rozmów, wobec tego przyglądałem się niemej relacji w telewizji, bo płaszczak wciąż pluł jedynie obrazami. Na przedmieściach Warszawy elfy w swoich wozach i na smokach niemiłosiernie kroili tyłki naszym wojskom oraz toczyły krwawą, regularną, wyrównaną bitwę z siłami krasnoludów.

Wtem ekran bez ostrzeżenia poczerniał.

– Zepsuł się – mruknąłem z rezygnacją do Elizki, która na przemian śledziła relację i wodziła spojrzeniem za Turgilem. – Teraz to już niczego się nie dowiemy...

Wielkolud usłyszał mój szept i prychnął z ironią.

– E tam! Pewnie nasi zdetonowali bombę M i wszystkie elfy razem ze smokami oraz pozostałą gadziną na ich usługach poszły do piachu. Fakt, że z całym waszym miastem... to stolica była, nie? – Z udawanym współczuciem pokiwał głową. – Zbudujecie sobie nową, ładniejszą.

Usłyszałem, jak Elizka głośno wciąga powietrze. Pokłóciliśmy się między innymi o wyjazd do Warszawy. Ona uważała, że pracę za dobre pieniądze można znaleźć tylko tam. Ja nie chciałem się nigdzie ruszać.

Nagle brzęczenie, dotąd ledwie słyszalne, urosło do natężenia wiertarki dwa piętra niżej. A krasnolud... podskoczył z radością i wypadł na balkon. Spojrzałem w tamtą stronę...

Widzieliście kiedyś szerszenia? Choć wydaje się ciężki niby królik po przejściu przez pole kapusty, w rzeczywistości jest bardziej sprawny od pszczoły, a walczy zacieklej niż osa.

I właśnie taki owad nadlatywał znad parku w stronę naszych wysokościorców. Miał z osiem–dziesięć metrów długości i odpowiednią do tego powierzchnię skrzydeł. W miejscu, gdzie cienka głowa z wielkimi fasetami oczu łączy się z odwołkiem, było siedzisko zajęte przez krasnoluda w zbroi. Przelatując z wielkim brzęczeniem, pilot pomachał nam ręką. Turgil krzyknął coś gromkim głosem, po czym wrócił do pokoju.

– No to wygrana musi być nasza – rzucił triumfalnie.

Siedziałem w milczeniu przytłoczony tym, co działo się wokół. Za to Elizka nieoczekiwanie postanowiła zabrać głos.

– A czy te... te złe elfy też mają takie bomby? – spytała drżącym głosem. – Mogą zniszczyć miasto?

Turgil z dziwną powagą skinął głową. Przez jego twarz przemknął cień zaniepokojenia, jakby dziewczyna przypomniała mu o czymś bardzo nieprzyjemnym.

– A pewno, że mają. Siły są równe, właśnie dlatego nie chcemy walczyć w Erren, za dużo byłoby zniszczeń. Lepiej zmierzyć się na cudzej ziemi, a kiedy ktoś uzna się za pokonanego, wrócić do siebie. My do jaskiń, oni do ogrodów, a trupy do wspólnego dołu. – Zaśmiał się grubiańsko. – Bo elf i krasnolud to jedna rodzina, chociaż nie na wojnie... i najlepiej z dala od siebie.

Przerwał i nagle zaczął się nerwowo drapać. Musiał to być jego własny desantowy przychówek – ja nie miałem żadnych własnych pcheł w domu.

– To te paski od zbroi. – Głos Elizy tchnął życzliwością. – Źle związane. Mogę poprawić?...

Normalnie wbiło mnie w kanapę. Skonsternowany Turgil wsadził paluchy pomiędzy zbroję a materiał, poskrobał nieporadnie i westchnął.

– Mnie będzie łatwiej. – Wygięta w swojej uprząży Eliza sięgnęła dolnych pasków krasnoludzkiego osprzętu.

Olgansson przybliżył się, oparł o kanapę, a że paluszki mojej dziewczyny umiały wiele, supły zostały szybko rozwiązane, zaś bieg pasków wytyczony właściwie.

Turgil chrząknął, a na jego twarz wypłynął całkiem niekrasnoludzki rumieniec.

– No, teraz naprawdę lepiej. – Życzliwym spojrzeniem obdarzył Elizkę. – Co to jednak znaczy kobieca ręka... nawet ludzka...

W moją dziewczynę jakby wstąpiło nowe życie. Znowu czuła się komuś potrzebna i doceniana jak bohaterska sanitariuszka w powstaniu.

Wtedy Olgansson z wahaniem sięgnął po swój nóż, którym chwilę wcześniej rzezał kreskę oznaczającą ubitego smoka. Eliza zbladła. On jednak tylko przeciął linkę, pociągnął dziewczynę za rękę, chwycił mocno i przeniósł ponad oparciem kanapy. Troskliwie postawił ją obok siebie.

Natychmiast przeciągnęła się jak kociak. Przygryzłem wargę, ale ból wcale mnie nie otrzeźwił. Kiedy Turgil, uśmiechając się zwycięsko, objął moją dziewczynę w pól i przyciągnął do siebie, a ona nie zaprotestowała, pomyślałem, że pora umierać.

Krasnolud potoczył dokoła triumfalnym spojrzeniem. Chyba wiele wyczytał w moich oczach, bo wykrzywił gębę w jeszcze szerszym uśmiechu.

– Jak chcesz, możesz próbować zejść na dół – rzekł łaskawie, bawiąc się włosami Elizki.

Pewnie bym tak zrobił, bo cóż właściwie miałem do stracenia? Wstałem z kanapy, ale nim zdołałem coś powiedzieć albo wyjść z mieszkania, wszystko uległo nagłej zmianie. Turgil odepchnął dziewczynę na bok i rzucił się do bronii. A ja do okna, bo ciekawość zwyciężyła strach mdlący w żołądku.

Horyzont pociemniał. Trzy smoki nadlatywały jako zasłona ogniowa. Czwarty, ledwie widoczny, ciągnął za sobą coś na kształt latawca. Wyskakiwały z niego małe postacie ze spadochronami, białymi kropkami plamiąc błękit nieba i zieleń lasu.

Elfy przeprowadzały desant na strategicznie położone osiedle Tysiąclecia.

Teraz dopiero pojąłem, co Turgil miał na myśli, mówiąc o wsparciu. Kilka gigantycznych szerszeni pofrunęło w stronę smoków. Zwierzęta natychmiast zwarły się w morderczej walce. Na owadach ogień nie robił jednak najmniejszego wrażenia. Usiłowały złapać smocze skrzydła szczękami albo wbić żądło w cielsko. Potwory krążyły wokół siebie jak oszalałe, wypełniając powietrze szumem i nieznośnym brzęczeniem.

Jedna z par walczyła z takim zapamiętaniem, że nie zauważyła przeszkody – z potwornym impetem wbiła się w wieżowiec stojący najbliżej ulicy. Smoczy ogień natychmiast coś podpalił, wokół rozeszły się kłęby burego dymu. Któryś z krasnoludów wystrzelił w smoka raketę, żeby go dobić. Nie trafił, pocisk wybuchł poniżej zwierząt, wywalając wielką dziurę w budowli. Ta – urok wielkiej płyty – zaczęła się sypać jak uderzona wielką pałą.

Elfy strzelały z ziemi, krasnoludy Turgila ze swoich stanowisk na szczycie mojego wieżowca. Pociski krzyżowały się w powietrzu, okrzyki mieszały, co chwila ktoś umierał. W jednym z mieszkań na naszym piętrze wybuchł pożar...

W tym chaosie nie dało się śledzić przebiegu bitwy. To były już osobne pojedynki, tory pocisków, zdarzenia. Stałem przy oknie i patrzyłem na swoje osiedle niszczone w wojnie jakichś niesamowitych stworzeń z innego świata. Miałem poczucie nierealności, choć wszystkie zmysły utrzymywały, że wszystko to dzieje się naprawdę.

I nagle smoki z elfami zaczęły uciekać – tylko jeden z ogniowładnych nie zdołał. Trafiony ostatnią raketą Turgila upadł w poprzek drogi szybkiego ruchu.

– Jeszcze jeden cholerny jaszczur do piachu! – wrzasnął rozradowany krasnolud. – Blżej historii, dalej do nieba, tara di dam!

Zafascynowany patrzyłem, jak smok kręci się w kółko. Z jego paszczy dobiegał ni to bolesny jęk, ni to pisk. Na ziemi nie wyglądał jak majestatyczne, groźne stworzenie, raczej jak skulony niemowlak broniący się przed okrutnym światem. Ścisnęło mi gardło. Czułem się bardzo podobnie.

Olgansson gestem przywołał Elizę.

– Chodź, kochanie, trzeba go dobić. – Wyszczrzył zęby.

Dziewczyna niepewnie, chyłkiem wsunęła się na balkon. Gruboskórny krasnolud zapewne nie zwrócił uwagi na to co ja: że podeszła do niego z pewnym wstrętem.

Choć teraz myślę, że kto wie, może się pomyliłem, oszukiwałem samego siebie? Może jej mina świadczyła bardziej o fascynacji – pomieszanej z obrzydzeniem, ale jednak fascynacji?

Turgil wbił w rusznicę nowy magazynek i podał broń Elizie. Chwyciła ją, oparła o balustradę i bez zwłoki zaczęła strzelać.

– Ładnie, kochanie. – Olgansson pogłaskał ją po głowie, równocześnie zatrzymując dziki ostrzał okolicznych budynków. – Prawie żeś gadzinie ogon upierdzieliła. Ale żeby nie marnować amunicji, musisz używać celownika. – Położył wielgachną łapę na drobnej dłoni dziewczyny i poprowadził ją do celnego strzału.

Bang! Z głowy smoka wystrzeliła fontanna krwi, po chwili opadła niby zwiędnięty kwiat. Zwierzę zdechło, nim pomiędzy budynkami przebrzmiało echo strzału.

Nagle do mieszkania wpadło ze szczęściu krasnoludów. Zawołali Turgila, zaczęli się z nim obejmować, klepać po plecach.

Wreszcie Olgansson ochłonął. Popatrzył na pobojowisko, po czym rozesłał swoich towarzyszy na stanowiska. A sam, nie krępując się moją obecnością, miłośnie popatrzył na Elizkę, która nie była już moją dziewczyną. Chwycił ją za ramię i delikatnie jak na krasnoluda wskazał jeden z pokoi w głębi mieszkania. Sypialnię.

– Aha! – Sięgnął po linkę. Za nadgarstek przywiązał mnie do balustrady, żebym mógł sobie kontemplować pobojowisko.

I tyle wyszło z jego łaskawości. Przed chwilą proponował mi ucieczkę. Ale gdy nie skorzystałem z szansy, drugiej mi już nie dał – choć pewno zrobił to nieświadomie, tak po prostu, po krasnoludzku, odruchowo.

Spojrzałem na swoje osiedle. Widok smoków, elfów, szerszeni wkomponowanych w zgliszcza budynków, dymiących, osmolonych, zrujnowanych jak wieżowiec naprzeciwko, z którego ruin wciąż uciekali ludzie, budził grozę.

Piękną stanowiliśmy dekorację dla ustalania, kto ma rządzić w Erren – elfy czy krasnoludy.

Piękną, psia jego mać!

* * *

Kiedy po kwadransie Turgil wrócił do pokoju, wydawał się rozanielony. Za nim nieśmiało weszła Elizka w samej spódnicy i bluzce, bez góry kostiumu. Wydawała się napełniona światłem. Promieniała, po jej twarzy błędził uśmiech, jaki można dostrzec tylko u zakochanych.

Olgansson miękki gestem rozwichrzył jej włosy.

– Już ja zadbam, żeby w wojennej pieśni znalazło się miejsce dla Krwawej Elizy, co to smokowi ogon odstrzeliła – mruknął.

No i nie wytrzymałem. Po prostu nie zniosłem tego ciężaru. To było zbyt wiele jak na jednego człowieka.

– Rujnujcie nasze domy, bo się wam wojnę zachciało toczyć?! – wrzasnąłem, szarpiąc linkę tak mocno, że balustrada zajęczała wysokim tonem.

Było mi wszystko jedno. Ukradł mi Elizę, rozwalił dom, nie pozwolił uciec, to co mi pozostało?

– Niech na was zaraza spadnie, przeklęte stwory!!!

Krasnolud wyszedł na balkon i oparł obie dłonie na balustradzie, powstrzymując jej dygot. Usmolone, podrapane, w każdej chwili mogły mi skrócić kark.

– Wojna jest ważna, bo jakoś dogadać się trzeba. Ale pieśni są najważniejsze – rzekł, patrząc na mnie ciężkim, nieruchomym wzrokiem. – Myślisz, że lud uczy się wiedzy z książek? Że jak jakiś stary piernik w okularach coś napisze, to elfy albo ludzie to zrozumieją? I zapamiętają? Nieee... – Zaśmiał się nieoczekiwanie, łagodniejąc. – Jak bard zaśpiewa, że

bitwa zacna, gruzów kupa, a nasi wygrali, bo im bogowie sprzyjali, to co innego. Tym bardziej, że nie będzie jak sprawdzić... A elfy pewno będą mówić, że był remis. I też wyjdą na swoje.

Nagle przerwał i bystrym okiem zaczął lustrować ulicę w dole. Widoczny niesmak wykrzywił mu gębę.

– Kochanie, ten elf się jeszcze rusza – mruknął. Wyciągnął rusznicę w stronę Elizki.

Moja mała słodka dziewczynka skinęła głową i odłoniła zęby w drapieżnym uśmiechu. Podeszła do nas, chwyciła fuzję, warknęła:

– Yeah! – I zaczęła strzelać z pasją, z jaką najwięksi nałogowi gracze komputerowi rozwalają przeróżne monstra.

Po kilku minutach Turgil delikatnie wyjął jej broń z ręki. Elf został zabity z dziesięć razy i nie było sensu zabijać go po raz jedenasty. Krasnolud przyciągnął Elizkę do siebie, pocałował mocno. Westchnął chrapliwie jak roznamiętniony łos.

Nagle spoważniał. Popatrzył na mnie. Już przestałem się miotać i z rezygnacją śledziłem bieg zdarzeń.

– Wiesz co? Dalej chyba poradzimy sobie bez twojego udziału... – rzekł do mnie z okrutnym uśmiechem.

Dwoma szybkimi ruchami odwiązał linkę. Wierzgnąłem rozpaczliwie, ale bez trudu uniósł mnie do góry i... stracił w przepaść dwudziestu pięciu pięter.

– Pa, pa, kochanie – zegnał mnie głos mojej byłej dziewczyny. – Baw się miło...

Zawsze myślałem, że zginę w wypadku samochodowym. Gdy Turgil wpadł do mojego mieszkania, łudziłem się, że jeśli zginę, to jako bohaterski zakładnik złego terrorysty albo jak ci pasażerowie, którzy woleli rozbić swój samolot, niż pozwolić Al-Kaidzie zdemolować Biały Dom.

Tymczasem zginę, bo zły krasnolud zabiegł mi drogę.

Nie, po co te kłamstwa w ostatnich chwilach życia? Umrę, bo chadzanie po słodkich polach elizejskich okazało się bieganiem po gęsto obsianym polu minowym.

Mamo! Ten film przed oczyma za szybko się kończ...!

2005